

Zdaniem posłów z podkomisji ds. jakości kształcenia i wychowania dzielenie 28-osobowej klasy na dwie 14-osobowe w ciągu roku szkolnego jest dobrym pomysłem. Na pewno jest dobrym dla środowiska nauczycielskiego, bo jakiś nauczyciel znajdzie pracę. Dla wszystkich pozostałych – złym.

Przy okazji reformy dotyczącej wieku rozpoczynania nauki w szkołach pojawiła się idea ograniczenia liczebności oddziałów na poziomie klas I-III. Idea ta nie była odpowiedzią na masowe tworzenie ogromnych klas przez poszczególne gminy (średnia liczba uczniów w klasie była na poziomie 18), ale potrzebą marketingową – wykazania zaniepokojonym rodzicom 6-latków, że rząd troszczy się o potrzeby ich dzieci. Uchwalona w roku 2013 ustawa przewidywała, że od bieżącego roku szkolnego liczba ta nie może przekraczać 25 uczniów. Myli się ten, kto przypuszcza że taka, a nie inna liczba jest wynikiem głębokich analiz systemu edukacji. Analiz, z których wynika że właśnie 25 a nie 27, czy 24 to właśnie ta liczba, przy której nakłady na edukację są najbardziej efektywne. Dwadzieścia pięć, czwarta część setki, było bardzo ładne medialnie. Nie miało więc znaczenia choćby to, że w sytuacji gdy klasa jest wyposażona w ławki dwuosobowe, to programowo jedno miejsce w klasie pozostanie niewykorzystane. Nie miało też znaczenia, że skoro statystycznie klasa liczy 18 uczniów jednego rocznika, a w ramach reformy mają być w danym roku szkolnym przyjmowane dzieci z półtora rocznika to przeciętna klasa powinna liczyć 27 uczniów.

Wprowadzenie limitu uczniów w klasach odbyło się przy sprzeciwie korporacji samorządowych. Ale skoro z jednej strony były jednostki samorządu, a z drugiej przekaz medialny i wsparcie związków nauczycielskich – wynik taki był możliwy do przewidzenia.

Przepis wszedł w życie z dniem 1 września 2014 roku i szybko doprowadził do problemów. Limit 25 uczniów dotyczy bowiem nie tylko rozpoczęcia roku szkolnego, ale całego jego okresu. Co to oznacza? Jeśli nawet rok szkolny został rozpoczęty w oddziałach 25-osobowych, to pojawienie się kolejnego ucznia – a w gminach z dużym dodatnim saldem migracji jest to częste – powoduje konieczność podzielenia klasy. Ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami poczynawszy od społecznych (rozbiecie zawiązanych wewnątrzklasowych więzi), poprzez organizacyjne (zmiana planu dla połowy dzieci i ewentualne utrudnienia dla rodziców) po finansowe (konieczność zatrudnienia kolejnego nauczyciela).

Pod wpływem uwag zgłaszanych na forum Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego Ministerstwo Edukacji Narodowej zrozumiało konieczność zmian i zaproponowało możliwość utrzymania w opisanym wypadku zwiększonej liczebności klasy przy spełnieniu pewnych warunków. Pierwszy z nich to zgoda rady rodziców, a drugi – konieczność zatrudnienia asystenta nauczyciela jeśli liczba uczniów przekroczy 25 lat.

W miniony czwartek posłowie podkomisji stałej ds. jakości kształcenia i wychowania w swojej mądrości postanowili drastycznie zmodyfikować te warunki. Przede wszystkim uznali, że limit i tak pozostać musi – powiększona klasa nie może w żadnym wypadku liczyć więcej niż 27 uczniów (to, że znów jest wybierana liczba nieparzysta znaczenia nie miało). Następnie w trosce o nauczycieli ustalili, że obowiązek zatrudniania asystenta nauczyciela pojawia się przy każdym zwiększeniu liczby uczniów ponad 25.

Najbardziej kuriozalnym pomysłem wprowadzonym przez posłów jest jednak uwarunkowanie pozostawienia klasy bez podziału... wnioskiem rady oddziałowej (przedstawicieli rodziców danego oddziału). Nie miało znaczenia to, że poziom gwarancji praw rodziców jest identyczny zarówno w

sytuacji, gdy mają złożyć wniosek, jak i wtedy, gdy muszą wyrazić zgodę. Zebrani posłowie (z dwoma chwalebnymi wyjątkami) uznali za zasadne zagłosować za rozwiązaniem, które de facto zakłada, że rodzice ze swojej natury cechują się nadnaturalnymi zdolnościami. Sami będą z góry wiedzieli, że do klasy ich dzieci będzie dopisywany nowy uczeń, więc muszą się zebrać i zastanowić nad złożeniem ewentualnego wniosku do dyrektora. Ja w taką zdolność „widzenia tego, co ukryte” nie wierzę, więc praktyka będzie wyglądała w ten sposób: dyrektor zamiast zwołać radę oddziałową i zapytać się jej o wyrażenie zgody, będzie ją zwoływał, składał do niej wniosek o złożenie do siebie wniosku, a potem rozpatrywał ten wniosek (informując oczywiście o jego rozpatrzeniu radę).

Głos przedstawiciela jednostek samorządu, jaki wybrzmiał na posiedzeniu podkomisji został skwitowany stwierdzeniem, że samorząd i tak powinien być zadowolony, bo nowe rozwiązanie będzie lepsze niż stare. Przypomina mi to znaną anegdotę, w której osobie narzekającej na warunki mieszkaniowe doradza się zatrudnienie służącej i kupienie kozy. Po zwolnieniu tej pierwszej i sprzedaniu drugiej nagle warunki się znacząco poprawiły...

Choć może faktycznie jako samorządy powinniśmy się cieszyć - w końcu Rzecznik Praw Dziecka publicznie uznał za najlepsze przepisy istniejące obecnie w ustawie i być może gdyby do niego należał głos decydujący to mielibyśmy jeszcze gorzej.